All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.

565 Noble St.

CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.

wydawcy.



Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 5go SIERPNIA 1897 ROKU. Nr. 31.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 5 Sierpnia, P. M. Sn. Piątek 6 Sierpnia, Przem. Pań. Sobota 7 Sierpnia, Kajetana. Niedziela 8 Sierpnia, Cyryaka. Poniedziałek 9 Sierpnia, Romana. Wtorek 10 Sierpnia, Wawrzyńca. Sroda 11 Sierpnia, Tyburcego.

Na Niedzielę IX po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukasza w rozdziale XIX.

Onego czasu, gdy Jezus przybliżył się do Jeruzalem, ujrzawszy to miasto, zapłakał na niem, mówiąc: Gdybyś i ty poznało, i w ten dzień twój, co jest ku pokojowi twemu, a teraz zakryto jest przed oczyma twemi. Albowiem przyjdą na ciebie dni, i otoczą cię nieprzyjaciele twoi wałem, i oblęgą cię, i ścisną cię zewsząd. I na ziemię cię obalą i syny twoje, którzy w tobie są, a nie zostawią w tobie kamienia na kamieniu, dla tego, iżeś nie poznało czasu nawiedzenia twego. A wszedłszy do kościoła, począł wyganiać przedających w nim i kupujących, mówiąc im: Napisano jest: Iż dom Mój, domem jest modlitwy, a wy uczyniliście go jaskinią zbójców. I uczył na każdy dzień w kościele.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

PALEC BOŻY.

OPOWIADANIE Z WOJEN NAPOLEOŃSKICH.

Dokończenie.

Wyszedłszy z klasztoru za innymi, postrzegłem ulice ożywione mnóstwem różnego żołnierstwa, którzy podobni do żeńców na obrzynku, używali teraz owoców pracy; zbiegowisko to miało minę niby karnawału, niby święta narodowego, niby bandy rozbójników bankietującej w lesie... Tutaj Holender wyskakiwał z kręgiem sera i z dzbanem wina, nawieszawszy na biały mundur kręconego tytuniu, owdzie Francuz dobrze ścięty objuczył plecy sukniami kobiecemi i lezie mi w oczy, abym co kupił dla mojej belli; Badeńczyk zgiął się pod ciężarem kiełbas i szynek; w rynsztoku tarza się pijana markietanka; znowu ulicą ciągnie zgraja, rycząc przypomnioną sobie pieśń, poprzedzana zataczającym się grajkiem, który brzdąkał na kradzionej gitarze.

Tyle scen to śmiesznych, to wzbudzających przykre uczucie, przewijało się przed mojemi oczyma, że prawie odurzony wróciłem do naszego stanowiska, gdzie zastałem większą część żołnierzy, którzy obłowiwszy się teraz puszczali w handel różne kosztowności, przedając najczęściej za manierkę gorzałki, rzecz wartującą kilkanaście dukatów, albo też na rozpostartym płaszczu zgrywali się w karty do jakiegoś spekulanta, co bank założył. Czy tym czy owym sposobem na to, który został przy zdobyczy, wszystko jak było marnie nabyte, tak zbyte; tylko na dobitek wielu pościągało na siebie karę boską w następnej bitwie w sposób bardzo widoczny i przekonywający, — tylko nie dla wszystkich, gdyż wielu, którym zwracałem na to uwagę, nie chcieli wierzyć, skła-

dając na zwyczajną kolej bitew i stosując przysłowie, że gdzie drwa rąbią, tam trzaski lecą....

— Dalszy nasz pochód odbywał się jak zwykle śród drobnych utarczek z bandami powstańców; żadna większa siła nieukazywała pola; wiedzieliśmy bowiem, że niedobitki hiszpańskie zbierały się w górach, chcąc nam zamknąć przejście do Madrytu. Na dwa dni przed zdobyciem Sommo-Sierry, przednia nasza straż dościgła piechotę hiszpańską w wąwozie Buwierka; rozprawa była krótka, a zwycięstwo przy nas.... Odtąd szliśmy już wciąż górami — aż dnia 29go Listopada cały korpus marszałka Victor zebrał się u stóp skał, które przed nami wznosiły się stromo, przepaścisto, niby mur jakiej olbrzymiej twierdzy. Zajęliśmy stanowisko przy jakiejś wioseczce na pół zrujnowanej: niekazano nam ruszać się od koni, ale pozwolono rozpalić ogniska; tem bardziej, że zimno wilgotne na wskroś przejmowało, a i posiłek potrzebny był wojsku — przeto każdy sobie warzył, co miał w zapasie; — ja zaś, pamiętam, raczyłem się z kolegami wyborną czekoladą, w którą się jeszcze w Lermie zaopatrzyłem. — Obóz hiszpański będący na przeciw, gdy się ściemniało, przepiękny widok nam sprawiał tysiącem ognisk, które jak lampy migały zawieszone na ciemnem tle tych skał nagich, pomiędzy któremi wił się wąski gościniec madrycki — jutrzejsza nasza droga do sławy lub śmierci... Zapomniałem jeszcze napomknąć, że dnia tego z kolei szwadron nasz był na straży przy cesarzu, która to okoliczność tem bardziej utwierdzała nas w mniemaniu, że jutro może i niedobędziemy pałasza. Bardzo więc długo i wesoło gawędziliśmy w obozie, prawiąc różne historyjki, przypominając sobie to dawniejsze lata, to różne znajomości i stosunki familijne; jaki taki westchnął za domem, za rodzicami, inny za kochanką, a każdy pytał: kiedy też da Bóg wrócić na nasze zrazy i kaszę?.... W końcu ożywiona ta biesiadka zeszła na smętne tylko przypomnienia; jakaś tęsknota, wróżka złego przeznaczenia osiadła czoła wiarusów; pospuszczali wąsy — ja zaś, sam niewiedząc dla czego byłem ochotszy niż kiedy; żarty mi się nie przebierały, tak dalece, że niektórych ten dobry humor obrażał, i jeden, jakby na przestrogę mruknął z pod nosa: Ej wachmistrzu, za nadto dziś szalony, żebyś jutro nie beczał! — Zmilczałem, alem w duchu rzekł sobie: chyba nad wami. — I prawda, płakałem ich przy jutrzejszem ognisku, gdyśmy się i połowy towarzyszy dorachować nie mogli... W kampanii, jak to sami zapewne doświadczyliście, snopek słomy i suchy kawałek ziemi, jest rozkoszą, która wszystkie inne przewyższa, — wyspać się dobrze to prawdziwe szczęście. Owoż tej nocy, tak się zdarzyło, żeśmy obozowali blisko jakiejś posady, czyli karczemki, ale tak zniszczonej, że nawet dach nie został; — tam, rozlokował się na noc nasz rotmistrz Kozietulski z kilkoma oficerami i mnie się też dostał, jako wachmistrzowi szwadronowemu, kątek suchy i miękki snopek... Możecie sobie wyobrazić, żem zasnął twardo i smaczno; z razu żadne marzenie nie kłóciło spoczynku i wszelkie czucie było mi odjęte z zapomnieniem troski niepokojeń tego życia, których wszakże najmniej doświadcza żołnierz na linii bojowej... dopiero, jak wnoszę, nadedniem, ujrzałem się w domu mego stryja, przy którym mieszkałem po stracie rodziców. Był prześliczny ranek majowy... biegałem po ogrodzie między grządkami kwiatów takich woniących, takich barwistych, jakichem nigdy w życiu nie widział... Oko moje zachwyciła szczególniej jedna lilia piękniejsza nad wszystkie wielkością korony, srebrnym połyskiem liścia. — Stanąłem nad nią i wpatrywałem się jak oczarowany, jak kochanek w oczy kochanki, przez które czyta w jej du-

szy miłość i nadzieję... Mnie się zdawało, że lilia ma duszę, że w niej czytam głęboką jakąś tajemnicę... potem, jakbym dostał zawrotu, jakby dziwna ogarnęła mię trwoga, ukląkłem. — Aż oto z kielicha wypływa śliczna postać niewiasty: jasne jej czoło otacza wieniec z promyków, biała szata nadzwyczajnej miękkości spływa do stópek, któremi zaledwo dotykała liści liliowych... Na to zjawisko zacząłem mówić: Błogosławionaś między niewiastami!.. i złożyłem ręce do modlitwy... W tem postać przemówi cichym a dźwięcznym głosem: Wachmistrzu, czytaj apel!... usłuchałem komendy, sięgnąłem za nadrze i wyjąłem listę... — Czytaj! powtórzyła. Czytałem więc od początku do końca, a ona przy niektórych nazwiskach pokazuje palcem i mówi: połóż krzyżyk ołówkiem... Gdym skończył i podniósł oczy, już znikło widzenie... W tej chwili odgłos trąbki zadzwonił mi w uszy; zerwię się na równe nogi — spojrzę — jeszcze szaro na dworze — mgła gęsta w powietrzu, ale od strony wschodu świt zaczynał rumienić niebo... Aż tu i rotmistrz przypada: Wachmistrzu! każ stawać do apelu; cesarz za moment będzie przejeżdżał; piechota już się uciera, czy słyszysz strzały? — W rzeczy samej głuchy odgłos ognia karabinowego rozlegał się po górach. — Ależ to dziwny sen miałem panie rotmistrzu! — mówię zajęty mojem marzeniem. — Potem o tem; a teraz spiesz się... odrzekł, wołając niecierpliwie na ordynansa, by mu konia podawał... Nie długo stałem przed uformowanym szwadronem, i czytałem apel; pamięć dochowała mi wiernie nazwiska, oznaczone krzyżykiem we śnie; dla tego przy czytaniu porobiłem też same znaczki — najwięcej mię uderzyło, iż wszyscy, których widziałem na rabunku w Lermie, dostali krzyżyk....

Gdym skończył — po szeregach przeleciał głuchy szmer: Cesarz! cesarz!.... i kilkudziesięciu jeźdźców przegalopowało przed nami. Poznałem go zaraz po szarej kapocie, po trójgraniastym kapeluszu i po tem oku, co wlepione w tę masę skał, już naprzód wytknęło drogę zwycięstwu. — Kozietulski zakomenderował: Czwórkami! kłusem! i szwadron kopnął się za Napoleonem.

Po drodze napotykaliśmy różne pułki, to piesze, to konne, to artyleryą, zajmujące stanowiska. Patrząc na niezdobyte prawie stanowisko Hiszpanów, którzy na wązkim gościńcu wykutym w skałach, ustawili byli działa i ciągły sypali ogień — wróżyliśmy krwawą rozprawę, ale nam nigdy i przez myśl nie przeszło, aby kawalerya miała zdobywać ów wąwóz. Jednakże cesarz tak w swojej głowie uradził i dokazał swego — inny pospolity generał byłby odszedł z kwitkiem... Widzieliśmy, jak piesze pułki coraz więcej wysyłały tyralierów, ale nic wskórać nie mogli, bo Hiszpanie palili jak z za muru, a wdzierających się spychali na dół bagnetami... Mgła powoli rozedniała w dolinie, a szczyty gór jaśniały już dziennym blaskiem. Cesarz stanął na jednym pagórku i przez lunetę patrzał, — myśmy się również zatrzymali, przeto mógłem go śledzić w każdym ruchu: — po wężykowatym kierunku jaki nadawał lunecie, poznałem, że duch jego biegł tym krętym gościńcem, najeżonym działami; w drgnięciu niespokojnem ręki, wyczytałem jakąś tajemną obawę, która musiała w końcu nastąpić z myśli, bo uderzeniem dłoni, gdy zesunął członki lunety, taki wzrok rzucił ku górom, jakby chciał wyrzec: głupcyście! Niema ta scena tyle mnie zajęła, żem nawet nieuważał, jak kule gradem obsypywały nas, dopiero, gdy Dziewanowski zginął, poznałem na co to się zanosi i mówię do rotmistrza stojącego obok mnie: Zaczynają dogrzewać... — Nie tak tu jeszcze będzie — odrzekł kiwając głową — dajno wódki wachmistrzu, coś chłodno... do ciebie!... Ledwie mi oddał manierkę,

gdy adjutant cesarski przypadł z rozkazem, ażeby nasza konnica poszła do ataku na górę. — Wiara! pokażmy co umiemy! — krzyknął Kozietulski. — Naprzód, marsz, marsz! Odtąd już nie jestem wstanie opowiedzieć, co się tam działo koło mnie, nademną, podemną. Wiem, żeśmy się darli jak na piec... Kartacze jak stada szpaków spadały na nas, granaty pękały nad nogami — cała góra, by wulkan w ogniu zasypywała nas lawą pocisków... niewiedziałem już kto tam padał, kto nam zastępował — nie wiedziałem, czym był na koniu, czy pieszo, bo pęd masy mnie unosił ciągle naprzód, ciągle pod górę, przez działa, przez trupy zrąbanych kanonierów... Tylko to pamiętam, że mi ustawnie w oczy zaglądały paszcze dwóch dział — jak mora, która cię dusi, którą odepchniesz na chwilę, a ona znowu powraca.... Było tego, już niewiem wiele razy, zapewne tyle ile par dział musieliśmy zdobywać na każdym zakręcie — później liczyliśmy, było ich szesnaście. Ośm więc razy biedny nasz szwadron wytrzymywał tę piekielną łaźnię.... Jużeśmy docierali prawie do końca.... obejrzę się.... ledwie kilkunastu gwardyaków kręci się przy mnie, ale za to długi pomost koni i trupów ciągnie się aż do podnóża góry. — Szukam oczyma dowódzcy... a oto on opodal za nami leży pod koniem i woła wyciągając rękę: Bracia ratujcie honor Polski! Naprzód! Naprzód! Nie było już komu iść naprzód... Hiszpanie na naszą garstkę sypnęli z wierzchołków skał nieustający ogień... jedna kula trafiła mię w słońce na kaszkiecie, inne płaszcz podziurawiły, a trzy ugodziły w piersi — czy uwierzycie? wszystkie odbiły się o medalion z Najświętszą Panną.... pokażę wam znaki. — Widząc co się dzieje, jaki taki choć żal mu było ginąć daleko od ojczyzny, jednakże postanowił drogo przedać życie Hiszpanom, tem bardziej, że niestworzone rzeczy wyrabiali z jeńcami. Czekaliśmy tedy na nich z rezygnacyą i podniesionemi szablami....Opatrzność zrządziła inaczej: nie wyszło i trzy Zdrowaś Marya, kiedy wąwozem rozległ się okrzyk: Hurra! Serce nam zabiło nadzieja... i oto Krasiński z Dotankurem sadzą na czele pozostałych trzech szwadronów gwardyi... Odtąd już się przeważyło zwycięstwo zupełnie na naszą stronę: opanowaliśmy szczyty gór — nieprzyjaciel wszędzie tył podawał, rzucał chorągwie, działa, bagaże, a myśmy wsiadłszy mu na karki, jechali na nim aż do Buitrago.... zwycięstwo to okryło nas nieśmiertelną sławą. Napoleon z radości trzy razy zażył tabaki i zatarł ręce powtarzając: to djabły nie ludzie!.... Z tem wszystkiem gdyby Hiszpanie byli choć jeden zasiek zrobili na gościńcu, i djabły nicby nie wskórali.... Niedarmo to bystre oczko Napoleona zaraz dostrzegło tę chybę, skoczył do głowy po rozum i posłał jazdę. Każdy inny byłby forsował piechotą... Znajdźcież drugiego Napoleona!!....

Opowiadający zamyślił się, a raczej skończył.... Obecni mieli oczy weń wlepione, jakby czegoś jeszcze się spodziewali; aż jeden najmłodszy z nich, zniecierpliwiony milczeniem majora, zagadł: Pan dobrodziej nic nam nie mówisz o sprawdzeniu się przepowiedni; czyż wszyscy ci zginęli, co dostali krzyżyk?.... Wszyscy, co do jednego! odparł major z westchnieniem.— Przed apelem pokazywałem listę kilku kolegom, naliczyliśmy pięćdziesiąt siedm krzyżyków; po apelu podałem w raporcie pięćdziesięciu siedmiu zabitych...

L. Siemieński.

Obrona Trembowli.

(Ciąg dalszy.)

W komnacie zamku już świt poranny,
Złoci okienko, gzymsy i mury,

I pada na twarz Najświętszej Panny,
Co mile z dzieckiem spogląda z góry.

Na łożu pani tam spoczywała,
Włosy jej czarne a twarz jej blada,
Suknia jej w fałdach na ziemię spada,
Jak czoło pani, jako śnieg biała.

A ona marzy i jak na jawie
Widzi kochankę i oblubieńca,
Wielkość królowej w dziewy postawie,
I męztwo w hardej twarzy młodzieńca.

Wchodzą w podwoje wielkie kościoła,
Gdzie śpią rycerze jak na Wawelu,
Diadem gwiazd wieńcem bije z jej czoła,
A hymn ją głosów powitał wielu.

Świąt był uczucia w królowej oku,
I twarz jej w rannym słońca promieniu,
Na wpół błyszcząca, na wpół w obłoku,
Lecz krzyż był czarny na jej ramieniu.

Ona u stopni ołtarza stoi,
Z nieśmiertelników nad nią był wieniec,
Ale zakuty w żelaznej zbroi,
Nie śmie postąpić kroku młodzieniec.

Więc ona śnieżne wyciąga dłonie,
I kapłan stułę podnosi białą,
On się przybliżył, a jego skronie
Oczy królowej olśniły chwałą.

Sędziwy kapłan wiążę ich ręce,
Lecz stuła biała mieni się w krwawą,
I jak w Golgoty ofiarnej męce,
Krzyż ma być odtąd rycerza sławą.

Nagle północna bije godzina,
Z pod stopy męża pierścień wężowy,
Rośnie i coraz wyżej się wspina,
I już dosięga serca i głowy.

Piękna królowa ręce załamie,
Patrzy z wyrzutem na twarz rycerza,
Jego bezsilne zwiesza się ramie,
Grobowym dzwonem jęknęła wieża.

Wąż się w tysiące wężów zamienia,
Nad grobowcami obłok zapada,
Świst rośnie, łuna sklep opłomienia,
Budzi się pani i woła: zdrada!

Zrywa się z łoża, przeciera oczy,
Biegnie do okna, patrzy i słucha,
Już wóz płomienny słońca się toczy,
A w koło cisza zaległa głucha.

Na wałach niema polskich rycerzy,
Więc przypomina sen i rozważa,
I do zbrojowni jak mara bieży,
Okrzyk jej ,,zdrada'' echo powtarza.

Ciąg dalszy nastąpi.

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Ciąg dalszy.

Klara. (*Z uczuciem litości i źdźiwienia*). Ale gdzież jest twoja żona i gdzież są twoje dzieci? Czyś ich nie wziął z sobą?

Eustachiusz. Tak wziąłem z sobą i żonę i dzieci, ale gdzie się podziewają, to Bóg Najwyższy tylko wie. Ja się tylko domyślam, że dwaj moi chłopcy nie żyją. (*Klemens i Klara płaczą, głośno szlochając, a Eustachiusz mówi dalej*): Słuchajcie dalej: Udając się do Egiptu, wsiedliśmy na okręt. (*Eustachiusz wyciąga chustkę, zakrywa sobie twarz, i głośno płacząc mówi:*) O Boże, z boleści nie mogę mówić o tem, co mi się stało.... (*chwilka milczenia; Eustachiusz przezwycięża się i mówi:*) Kapitan okrętu, bogaty murzyn, wylądował na brzegu zupełnie nieznanym i nie zaludnionym. Ponieważ uroda mej małżonki zwróciła jego uwagę, zażądał odemnie tak wygórowaną sumę pieniędzy, że jej żadną miarą wypłacić nie byłem w stanie. Więc porwał mnie gwałtownie z mojemi dziećmi w głąb kraju, i pozostawiwszy mnie w jakiejś puszczy niezaludnionej własnemu losowi, wrócił do mej

osamotnionej małżonki, porwał ją na okręt i odjechał na morze. Możecie sobie wystawić krzyki rozpaczy nas wszystkich. Serce nam się rozdzierało z boleści, kiedyśmy patrzali ze łzami w oczach jak okręt unosił naszą kochaną matkę. A kiedy okręt już całkowicie znikł w dali, kiedy go już nasze oczy dojrzeć nie mogły, ja mdlałem, a moje dzieci krzyczały rozpaczliwie: "Mamo, mamo, czy już cię więcej nie ujrzymy!"

KLARA. Mój Boże, jak ciężkie przechodziłeś koleje!

EUSTACHIUSZ. Moje nieszczęście jeszcze nie doszło do najwyższego szczytu; miara boleści jeszcze miała być pełniejszą. Żałobni aż do śmierci po utracie matki, ja i moje dzieci, w trójkę wędrowaliśmy dalej, chociaż nie wiedzieliśmy dokąd nas oczy nasze w tej bezludnej pustyni zawiodą. Długo szliśmy przez pustynię pośród upału słonecznego, prawie umierając z głodu i z pragnienia, aż wreszcie doszliśmy do szerokiej rzeki. Co teraz czynić? Wyszukałem najmielsze miejsce, gdzie jednak woda sięgała aż po same piersi. Wtedy wziąłem młodego syna Teopista na ramię i przeniosłem na drugi brzeg rzeki. Potem wróciłem, brodząc w wodzie aż po sam pas, aby i Agapiusza przenieść. Alem jeszcze nie stanął na środku rzeki, gdy Agapiusz przeraźliwie wołał pomocy. Ujrzałem, jak lew całym galopem pędził ku niemu, jak jednym susem wskoczył na niego, porwał go w swoją paszczę i uciekł. Ja wysilałem się, aby jak najprędzej dotrzeć do brzegu i podążyć za lwem; ale zwierz w jednem oka mgnieniu znikł z dzieckiem w dali puszczy. Wszelkie szukanie zwierza było nadaremne; żadnego śladu po nim nie mogłem odkryć, ani też płaczu dziecka nie słyszałem. Ze łzami rozpaczy w oczach, spocony, wracam napowrót i przeprawiam się przez rzekę do Teopista, który zanosił się od płaczu i krzyku, aż nagle ogromny wilk wpadł na niego i uniósł z sobą. Nie pomagał nic mój krzyk, aby zwierza odstraszyć; daremnem było długie szukanie mojego syna. I tak w jednej godzinie utraciwszy dwóch synów, kwitnących jak kwiaty, stanałem sam jeden w cichej i bezludnej pustyni. Byłem bliskim rozpaczy. Tylko myśl, że się nic nie dzieje bez woli Bożej, trzymała mię; inaczej z pewnością odszedłbym od zmysłów.

KLIT. Kochany przyjacielu, twoje nieszczęście głęboko mnie wzruszyło; chętnie poświęciłbym jedno moje dziecko, gdyby od tego zależało odzyskanie dwóch twoich synów.

KLARA. A ja nie wiem co bym dała, aby tylko twoją ukochaną żonę z rąk okrutnego murzyna wydostać; ale nie ma sposobu na to, sam Bóg tylko może ją obronić; będziemy się o to modlili.

EUSTACHIUSZ. Utraciłem więc wszystko, co mi najdroższem było. Złamany upadłem na ziemię, oddając się długiemu dumaniu, aż w końcu sen mnie zmorzył. Kiedym się zaś rano obudził, pierwsza moja myśl była o rodzinie; a kiedym sobie przypomniał, że ją utraciłem, boleść rozdzierała na nowo moje serce. Natychmiast powstałem i udałem się w dalszą wędrówkę. Chęć spotkania się z ludźmi i obawa przed śmiercią głodową dodawały mi siły i męztwa. Szedłem jeszcze w smutku pogrążony przez całą dobę, nie znalazłszy ani jednego człowieka, aż wreszcie przyszedłem tutaj do was i znalazłem współczucie i miłe przyjęcie.

KLEMENS. I dokądże teraz nieszczęśliwy człowieku zamierzasz się udać? Czy masz jakich przyjaciół tutaj w Egipcie, którzyby się tobą zaopiekowali?

EUSTACHIUSZ. Nie mam nikogo i nie znam nikogo; jestem zupełnie bezradny. Jeżeli wy nie udzielicie mi jakiej rady, albo nie pomożecie mi, nie wiem co pocznę.

KLIT. Co do mnie, mój przyjacielu, to proszę cię zostań z nami.

KLEMENS. Zostań z nami, Eustachiuszu.

KLARA. Rozumie się, zostań z nami! My jesteśmy w stanie ciebie utrzymać.

EUSTACHIUSZ. Serdecznie wam dziękuję za to przyjęcie do waszego domu. Prawdziwie, szczególna Opatrzność Boska kierowała mojemi krokami.

FELIX (*ciesząc się i przymilając Eustachiuszowi*). Dobrze, że u nas zostajesz. Będziemy się bawili, i będziesz uczył nas strzelać, maszerować, bić się, tak jakto żołnierze robią.

NARCYZ. I będziesz nam wiele opowiadał o Rzymie, o cesarzu, o Italii. Tak?

FELIX. I o wojnie z Partami.

NARCYZ. I o morzu.

FELIX. I o wielkich okrętach wojennych.

NARCYZ. I o wszystkiem coś widział. Tak?

KLARA. Dzieci, dzieci nie trudźcie dowódzcę Eustachiusza!

EUSTACHIUSZ. Dajcie im pokój! One rozweselają moje serce; zdaje mi się, że mam dzieci własne przed sobą. A wam o ile możności będę się starał być użytecznym. Jestem silny i zahartowany; będę więc wam mógł pomagać i w pracy polnej. Moją zręcznością w polowaniu będę doskonale trzebił zwierzynę w waszej posiadłości, która o ile mi się zdaje bardzo ją niszczy. A waszym dzieciom będę udzielał lekcyi czytania i pisania i będę kształcił w różnych gałęziach nauk. Tylko jeszcze jedną prośbę mam do was.

KLIT. Powiedz, czego chcesz, a wszystko ci uczynimy.

EUSTACHIUSZ. Lubię samotność. Pozwólcie więc mi zbudować u stóp pagórka, który jest w środku waszej posiadłości, chatkę, w którejbym mógł od czasu do czasu przepędzać chwile na rozmyślaniach, o nędzy człowieka, o znikomości świata i o utracie mej ukochanej żony i dzieci.

KLIT. Chętnie na to przystajemy i nawet chętnie będziemy ci pomocą przy budowaniu twej chatki. A teraz udajmy się na wieczerzę, bo już wieczór się zbliża i chłodno się robi na dworze. (*Wchodzą do domu*)

Dalszy ciąg nastąpi.

WILK I PAROBEK.

(POWIEŚĆ GMINNA).

Onego czasu, kiedy jeszcze Pan Jezus chodził po ziemi i nauczał, zdarzyło się pewnego razu, że wilk szary przyszedł do niego i rzekł:

— Panie! jużem też kosztował różnego rodzaju mięsiwa; wiem jak smakują barany, cielęta, a nawet woły i konie; alem jeszcze nigdy nie jadł mięsa człowieczego. Panie! pozwól mi też tego przysmaczku skosztować.

— Wilku, — odpowiedział Jezus, — sam nie wiesz, czego się napierasz. Wiedz tedy, że ludzkie mięso jest gorzkie i pewny jestem, że ci do gustu wcale nie przypadnie.

— To nic nie szkodzi, — rzekł na to wilk — niech będzie jak chce, pozwól mi zjeść człowieka, żebym zaspokoił ciekawość.

— Cóż mam z tobą robić, — odpowiedział Jezus — kiedyś się już na swojem usadził, niech i tak będzie; lecz kładę warunek, abyś nie tykał się ani chłopaka ani starca, lecz tylko parobka; pozwalam ci zjeść parobka.

Wilk ucieszony, wychodzi sobie na drogę do boru, siada na ogonie, czekając aż kto nadejdzie. Ujrzał najprzód chłopaka i pyta się chciwie:

— A kto ty jesteś?

— A wszak widzisz, — odpowie tenże — żem chłopak, dopiero na przyszłe gody zostanę średniakiem.

— Idź sobie z Bogiem — wilk na to odpowiedział, — nic mi po tobie.

Po chwili zbliża się starzec. A wilk znowu odzywa się:

— A ktoś ty bracie?

— Dziad stary, — ten odpowie — idę na odpust do tej wsi za borem, ale nie wiem, jak się sam zawlokę.

— Niech was Pan Bóg prowadzi, staruszku, — odpowiedział wilk — ja tu na kogo innego czekam.

Nakoniec zbliża się śmiało i żwawo parobek w kożuchu. Wilk, widząc z pozoru, że to właśnie taki, jakiego oczekuje, ostrząc sobie już zęby na niego, rzecze:

— A ktoś ty człeku?

— A jużci nie chłopak, tylko parobek, mój wilku, ale powiedz mi też, dla czegoś tak ciekawy?

— Bo mam w tem ważny interes, — odpowiedział wilk. — Pan Jezus pozwolił mi cię zjeść... stój! — i gotuj się na śmierć.

Nie zmięszany wcale takiem przywitaniem parobek, rzecze:

— A nu! kiedy mnie już masz zjeść, pozwólże mi przynajmniej iść na ustęp w te krzaki, i przygotować się do tak dalekiej podróży.

Wilk nie miał nic przeciwko temu; a parobek poszedłszy w krzaki, urżnął sobie kij tęgi i schował pod kożuch, a powróciwszy do wilka, rzekł:

— Jużem gotów na śmierć; lecz żebym cię przekonał, iż do ciebie najmniejszej nie mam urazy, że ci owszem przebaczam, choć mnie masz zjeść, pozwól się pocałować w ogon.

Wilk pyszny, chętnie na to zezwolił; a parobek niby to idąc do całowania, uchwyci wilka za ogon, okręci koło ręki, a potem dostawszy maczugi, jak zacznie kropić, tak, że zbitego i prawie nieżywego zostawił na miejscu.

Ledwo w kilka godzin odzyskawszy przytomność, zwlókł się wilk i wrócił do kniei, a spotkawszy znowu Pana Jezusa, rzekł:

— Oj prawda, Panie, że człowiecze mięso bardzo jest gorżkie; jużem do niego zupełnie stracił apetyt; lepsze dla mnie barany, niżeli te niezwyczajne przysmaki.

KALEKA.

(Z życia ks. Bosco.)

Czwartego Czerwca 1874, w dzień Bożego Ciała w chwili, gdy z rana otwierano w Turynie kościół Matki Wspomożenia, spostrzeżono, że leżał przed środkowemi drzwiami człowiek, który się wydawał kaleką.

Żapytano się, czegoby żądał. Odpowiedział, iż przyszedł błagać Matkę Boską Wspomożenia o uzdrowienie.

Zaprowadzono go czyli raczej zaniesiono do zakrystyi; gdyż mimo silnej kuli, którą się posługiwał, musiał go ktoś podtrzymywać, tak miał ręce i nogi pokurczone, oprócz tego był we dwoje prawie zgięty.

Księża zajęci byli w konfesyonałach lub odprawiali mszę św. O ósmej nadszedł ksiądz Bosco do zakrystyi.

— Czego sobie życzysz mój przyjacielu?

— Chciałbym błogosławieństwa Matki Boskiej Wspomożenia, abym wyzdrowiał.

— A cóż jest?

— Jestem cały połamany przez reumatyzm, lekarze mówią, iż to choroba kości pacierzowej.

— Jakże mógłeś dojść tutaj?

— Tej nocy jedna osoba przywiozła mnie na swoim wozie, i złożyła u drzwi kościoła.

— Od jak dawna jesteś już w takim stanie?



Wbny KS. W. GRUTZA,
proboszcz kościoła św. Jozafata w Milwaukee, Wis.



Rycina budującego się wspaniałego kościoła polskiego pod wezwaniem św. Jozafata, w Milwaukee, Wis. Kamień węgielny został uroczyście przy udziale kilkutysięcznej publiczności poświęcony dnia 4 lipca 1897 r. Cała świątynia zbudowana zostanie z kamienia i będzie jednym z najokazalszych kościołów w Ameryce.

— Od bardzo dawna; ale od dwóch miesięcy odebraną mam władzę w rękach.

— Cóż mówią lekarze?

— Że nic mi pomódz nie zdołają. Natenczas krewni, przyjaciele i ksiądz z mojej parafii poradzili mi, abym przybył wyjednać u Matki Boskiej wspomożenia błogosławieństwo, które dokonało tyle cudownych uleczeń.'

— Klęknij.

Za pomocą obecnych i z wielką trudnością udało mu się uklęknąć.

Ksiądz Bosco pobłogosławił go.

— Jeżeli masz niezachwianą wiarę w Najświętszą Pannę Maryę, otwórz rękę.

— Kiedy nie mogę.

— Przeciwnie! możesz, zacznij od wyprostowania wielkiego palca.

Spróbował i udało mu się.

— Teraz drugi.

Wyprostował palec wskazujący, i tak kolejno wszystkie. Uszczęśliwiony przeżegnał się mówiąc:

— Matka Boska użyczyła mi tej łaski.

— Jeźli Matka Boska użyczyła ci tej łaski, oddaj Jej cześć Bożą, wstając na nogi.

Chciał pomagać sobie kulą, ale ks. Bosco mu zabronił.

— Powinieneś okazać tyle ufności w Matce Przenajświętszej i wstać bez kuli.

Co też uczynił natychmiast. Znikło zgięcie kości pacierzowej, jakoteż i pokurczenie nóg i rąk. Powstał i dużymi krokami zaczął chodzić wzdłuż zakrystyi.

— Mój przyjacielu, okaż jeszcze wdzięczność Najświętszej Pannie, klękając przed ołtarzem Przenajświętszego Sakramentu.

Uczynił to z wielką łatwością:

— Mój Boże! i powiedzieć, że od tak dawna ciało i członki moje odmawiały mi wszelkiej posługi. Dobra Matko Boża Wspomożenia, módl się za mną!

— Przyrzeknijże mi, przyjacielu, że na przyszłość będziesz miał szczególniejsze nabożeństwo do Najświętszej Panny, i że zostaniesz dobrym chrześcianinem.

— Obiecuję to, i w przyszłą Niedzielę będę się spowiadał i komunikował.

To rzekłszy, bierze swoją kulę, jak by była strzelbą i z całą swobodą, mierząc kroki po żołniersku, wyszedł z kościoła.

Powaga i żartobliwość.

Strzeż się, abyś o tem, co dziecięciu twemu rozkażesz lub zakażesz, nie żartował. Skoro coś obrócisz w śmiech, jużeś stracił panowanie. Baw się z twojem dzieckiem, żartuj z niem, pieść je, ale na swojem miejscu. Lecz gdy w jakiej sprawie żądasz od dziecka posłuszeństwa, bądź stałym i poważnym. Nigdy nie chciej dostąpić posłuszeństwa prośbą lub schlebianiem. Dziecię próbuje w tysiącoraki sposób złamać twoją wolę. Próby te zazwyczaj już są znakiem okazanej miękkości. Jeżeli się zaś tylko raz dasz omotać, już po twojej powadze i panowaniu. Największy to błąd, gdy troskliwi i rozmiłowani w swojem dziecku rodzice mniemają, iż nie mogą także być dla niego surowi, nie mogą mu powiedzieć ostrego słowa. Gdy atoli raz, po drugi i po trzeci raz w swoich rozkazach zostaniesz niezmiennie stałym, tedy już na zawsze wygrana po twojej stronie, powaga rodzicielska jest ochroniona. Miłość wzajemna na takiej stateczności i stałości nic a nic nie ucierpi, daleko prędzej ucierpi, gdy jesteś przeciw dziecięciu twemu zmiennym, albo ustawicznie używasz kija..

Stara prawda.

Komu raz bieda na kark usiądzie,
Ten już rozumu nie złapie,
Już, szelma, na nim harcować będzie,
Jak cygan na chudej szkapie!

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON

W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

IV.

Złe myśli. — Nieposłuszeństwo. — Zbłąkanie w lesie. — Noc. — Żal i skrucha Janka.

Minęło parę miesięcy i Jankowi zaczęło się przykrzyć to życie, codzień jednakowe. Rodzice ciągle zajęci byli swoją pracą, on jeszcze pomagać im nie mógł, więc nudził się i narzekał często. Miał on wielką ochotę zajrzeć do tego pięknego lasu, który był tak bliziutko, ale mama nie pozwalała mu na krok odchodzić od domu, aby go jakie nieszczęście nie spotkało. A Janek wyobrażał sobie, że w tym lesie zabawiłby się doskonale, że znalazłby tam mnóstwo nieznanych i nowych rozrywek, bo dzieci zwykle przez nierozsądny upór tego właśnie najbardziej pragną, czego im zabraniają.

— Mamo — mówił nieraz chłopczyna — cóżby to szkodziło, żebym się trochę przebiegał polesie? Toż nieraz w Sosnówce pozwalałaś mi chodzić samemu po tamtejszym lasku i zbierać grzyby. Tu grzybów jakoś niewidać, ale za to nazbierałbym prześlicznych kwiatów.

— Broń Boże, ani myśl o tem, moje dziecko — odpowiedziała mama — w sosnowieckim lasku nie było żadnego niebezpieczeństwa, a tu mogłoby ci się wydarzyć jakie wielkie nieszczęście. W tym lesie jest pełno zwierząt drapieżnych, chociaż w pobliżu mieszkań ludzkich się nie pokazują, są pewnie i węże jadowite, a zresztą mógłbyś z łatwością zabłądzić w tej gęstwinie. Nie, nie, mój Janku, proszę cię, bądź posłuszny, nie odchodź na krok od domu.

Chłopczyk rad nie rad słuchać musiał, bo matka, pomimo rozlicznych zajęć, co chwila dowiadywała się, co się z nim dzieje i pilnowała, aby się nie oddalał. Ale źle to jest bardzo, gdy dziecko słucha rodziców jedynie z musu, a gorzej jeszcze, gdy rozkazy ich uważa za niesprawiedliwe. Naszemu Jankowi różne nierozsądne myśli zaczynały się snuć po głowie.

— Mama zapomina zupełnie — mówił sobie w duszy — że ja jestem chłopcem i wychowuje mnie, jak dziewczynkę, chce ze mnie chyba zrobić piecucha i tchórza. Ojciec nie ma czasu się mną zająć, zresztą zgadza się na wszystko dla spokoju mamy, a jednak pamiętam, jak dawniej nieraz powtarzał, że to bardzo źle dla chłopaka trzymać się tak ciągle matczynego fartuszka. Nie, nie, to długo potrwać nie może, ja tak nie wytrzymam.

Na nieszczęście Janek ukrywał się z temi niepoczciwemi myślami przed matką, ona też zupełnie spokojna była o niego i nie przypuszczała nawet, aby mógł być nieposłusznym.

— Janku — rzekła raz do niego — idę do strumienia wypłukać bieliznę; choć ze mną, znajdziesz tam pewnie na brzegu dużo ładnych muszelek, a może i rybkę ułowisz, zabierz z sobą wędkę.

Janek w pierwszej chwili ucieszył się, że choć troszkę dalej od domu odejdzie, ale potem przyszła mu znowu do głowy jakaś myśl nierozsądna.

— Co tam będę chodził z mamą, jak małe dziecko — pomyślał sobie, a głośno powiedział: Nie chce mi się iść teraz nigdzie, zacząłem sobie ogródek zasadzać, wolę zostać.

— A jakże tu sam zostaniesz? — mówiła matka.

— Mamie zawsze się zdaje, że ja jestem małym dzieciakiem — mruknął Janek niechętnie — mnie wstyd, doprawdy i gdyby tu byli jacy chłopcy w moim wieku, toby się pewnie ze mnie wyśmiewali, że mię tak mama, jakby na sznureczku trzyma przy sobie.

Matka wzruszyła ramionami, nic nie odpowiedziała, bo nie miała czasu wdawać się w długie rozprawy, ale odchodząc, zawołała raz jeszcze:

Tylko pamiętaj, moje dziecko, nie odchodź nigdzie od domu.

— Mama chce koniecznie mnie na babę wykierować — rzekł nierozważny Janek i zabrał się znów do zasadzania ogródka. Mama wyznaczyła mu przy domu kawałek gruntu na ogródek i wskazała, jak ma przesadzać różne ziółka, rosnące na skraju lasu. Było to zajęcie bardzo przyjemne i Janek niesłusznie narzekał na nudy. Ale złe myśli, raz dopuszczone do serca, z trudnością się dają oddalić. Chłopczynie ciągle snuło się po głowie, coby to za rozkoszna rzecz była, gdyby sobie mógł pójść do lasu, napatrzeć się tam różnych osobliwości, spotkać małpeczki, które raz tylko jeden widział, gdy z ojcem chodził na dalszą przechadzkę. Powtarzając sobie ciągle, że nic by mu się z pewnością nie stało, że matka niesłusznie mu tej przyjemności zabrania, Janek czuł coraz większą ochotę do takiej wycieczki i nakoniec powiedział sobie:

Mama pewnie nieprędko wróci, bo ogromną pakę bielizny niosła, jabym tymczasem się sprawił i poszedł i wrócił....... niktby sięnie dowiedział.... a zresztą, jeśli mi się powiedzie, to się przyznam do wszystkiego, mama się nie rozgniewa, sama potem pozwoli mi chodzić po lesie, jak się raz przekona, że mi się nic złego nie stało.

Obałamucony zupełnie temi nierozsądnemi myślami, nasz Janek wyobraził sobie w końcu, że nic złego nie robi, bo przecież już naprzód postanawia przyznać się do winy. Wprawdzie głos sumienia nie przestawał go przestrzegać, ale on ten głos natrętny usiłował zagłuszyć i niezwłocznie szalony swój zamiar wykonał.

Chłopczyk nie potrzebował się długo wybierać, miał na głowie duży kapelusz słomiany, o cieplejszem okryciu nie było co myśleć, bo gorąco straszliwe dokuczało nawet i w cieniu drzew, wziął więc tylko do ręki nieduży kijek i śmiało wyruszył, zapuszczając się w gęstwinę leśną. O zapasach żywności nie pomyślał także, bo zjadł niedawno obfity podwieczorek i nie był w tej chwili głodny.

Szedł tak z kwadrans, nie zatrzymując się i nie oglądając poza siebie. Z początku uszczęśliwiony był myślą, że raz przecież sobie dogodził i wydostał się na swobodę, ale w końcu jednostajność widoków zaczęła go trochę nużyć. Las był bardzo gęsty, wszystkie gałęzie na drzewach nikły pod niesłychaną masą liści, oprócz tego wiło się wszędzie mnóstwo roślin, pasożytnych, to jest takich, co nie na ziemi, tylko na pniach drzew wyrastają.

Wszystko to razem tworzyło taką gęstą sieć zieloności, że Janek nie mógł nawet nieba ujrzeć nad głową, w lesie zaś prawie ciemno było. Wśród ciszy odzywały się najrozmaitsze głosy i szmery, świegotanie ptaków, pisk jakichś drobnych zwierzątek, brzęczenie owadów. Kiedyniekiedy przed oczyma chłopczyka mignęły wśród liści świetne skrzydła kolorowe jakiegoś dużego ptaka, to znów zwierzątka, do wiewiórek

podobne, przeskakiwały po gałęziach, czasem znów piękny, ogromny kwiat purpurowy, złocisty, lub niebieski, spa-dał z wysoka i mnóstwo ptaków jaskrawych rozsypywało się pod stopami chłopczyka.

Las stawał się coraz gęstszy, coraz trudniej było przeciskać się wśród gęstwiny, często Janek brnąć musiał w bagnistym gruncie, raz zapadł prawie po pas w wodę, której nie spostrzegł, bo bagno było pokryte grubą warstwą opadłych liści. Chłopczyk zmęczył się nakoniec, więc usiadł na pniu obalonym i postanowił odpocząwszy powrócić do domu. Posiedział więc trochę, wstał i zawracając się, wyruszył żwawo, przekonany, że za chwil kilka stanie w domu. Ale szedł długo, daleko dłużej niż przedtem, a domu nie było widać. Natrafił znowu na gęstwinę taką, że się z trudnością przez nią przedarł, nie mógł rozpoznać drogi, postępował naprzód, to znów w bok zwracał, aż w końcu z nieopisanym przestrachem ujrzał przed sobą duże jezioro, które widział po raz pierwszy.

Teraz dopiero spostrzegł biedny chłopczyna, że zmylił drogę i zabłądził. Zaczął więc biedz prędko w stronę przeciwną, zmęczył się, znowu musiał odpoczywać, głód mu dokuczał, a tu nie wziął z sobą żadnego pożywienia. Zadrżał od stóp do głowy na myśl, że noc może go w lesie zaskoczyć, zerwał się i biegł znowu, płacząc na głos; powtarzał sobie w myśli, że nie ma się czego wstydzić, bo go tu przecież nikt nie obaczy i nie posłyszy w tej bezludnej puszczy.

Mijały godziny, a las się nie kończył, coraz ciemniej się nie robiło, już nawet w miejscach więcej przerzedzonych niepodobna było dojrzeć promieni słońca; przekonał się wreszcie biedny chłopczyk, że się sprawdziły smutne jego przeczucia, słońce zaszło, noc zapadła nad lasem. Był sam jeden, jak Robinson prawdziwy, wśród niezmierzonej puszczy.

Janek stanął i załamał ręce, ogarnął go wielki przestrach. Był sam jeden wśród puszczy leśnej i to w nocy! co chwila mógł się wysunąć z gąszczów jaki zwierz dziki i pożreć nieposłuszne dziecko. O! czemuż nie zważał na przestrogi matki, czemuż nie poszedł z nią do strumienia, gdzie prać miała bieliznę? W tej chwili siedziałby spokojnie na kolanach ojca przy wieczerzy; na wspomnienie wieczerzy znowu łzy rzesiste puściły mu się z oczu. Nieszczęśliwy chłopczyk stracił już zupełnie nadzieję odszukania drogi, osunął się z rozpaczą na ziemię i gorzko płakał.

A w tem przypomniał sobie Janek, że Bóg jest ucieczką wszystkich nieszczęśliwych, więc zerwał się, i ukląkł i gorąco modlić się zaczął. O! jakże szczerze przepraszał Boga, że go obraził nieposłuszeństwem i uporem, że nie usłuchał głosu sumienia, zapuszczając się w las bez pozwolenia matki i nie powrócił natychmiast, gdy go ten głos przestrzegał, jak bardzo źle czyni.

Modlitwa ta dodała mu nieco otuchy; on tak serdecznie żałował swojej winy, tak z głębi duszy obiecywał poprawę, mógł więc mieć nadzieję, że Bóg miłosierny prośby jego wysłucha. Janek słyszał nieraz od matki, że Bóg dobry okazuje młosierdzie tym, którzy z cierpliwością poddają się jego woli i znoszą niedolę swoją z odwagą. Starał się więc wszelkiemi siłami uzbroić w odwagę i cierpliwość i los swój znosić z poddaniem. Nie przestawał też modlić się, odmawiając wszystkie pacierze, jakie umiał na pamięć, aż w końcu z wielkiego znużenia i płaczu usnął biedny chłopczyna na posłaniu z liści, u stóp ogromnego drzewa.

Ciąg dalszy nastąpi.

ŚW. ŁUCYAN.

KAPŁAN I MĘCZENNIK.

W gaju palmowym syryjskiego miasta Samozaty przechadzał się ośmnastoletni młodzieniec, nad przyszłością swoją i nad wyborem stósownego dla siebie zawodu rozmyślając. Rodzice już za młodu go odumarli, ale w pamięci i w sercu jego głęboko utkwiły, szczególnie drogiej matki napomnienia. Jej to bowiem było staraniem, by jedyne swe dziecię w wierze chrześciańskiej i niezachwianej ufności w opatrzność Boską wychować.

Naraz ogarnęło Łucyana — tak młodzieńcowi było imię — uczucie błogiego spokoju. Duch Boży, ponad konarami cienistych palm się unosząc, natchnął serce pobożnego młodzieńca i podał mu myśl poświęcenia się całkowicie służbie Pańskiej. Rozdzielił więc Łucyan całe swoje mienie między ubogich i udał się do Edesy w Mezopotamii, gdzie opat Makaryusz, mąż wielkiej świątobliwości i głębokiej uczoności, niezwykłym pałając ogniem, pisma apologetów i obrońców wiary chrześciańskiej wykładał. Tego to nauczyciela został Łucyan uczniem. Na badaniu prawdy i czystości nauki Jezusa Chrystusa kilka lat strawił, a potem obdarzony przedziwną wymową, bez względu na stan przeciwników wiary św., błędy jakie się do niej przez liczne ówczesne herezye wcisnęły, wykazywał, zbijał i wykorzeniał.

Przytem wiódł wzorowe życie. Czas wolny od pracy umysłowej spędzał na gorącej modlitwie, w pokarmie i napoju był nader umiarkowany, a przedewszystkiem piękną cnotę milczenia tak dalece sobie przyswoił, że rzadko kiedy do kogo przemówił, jeżeli o sprawy Boże lub kościelne nie chodziło.

Biskup Antyocheński powołał młodzieńca do siebie i w uznaniu szlachetności ducha, nieskazitelności życia, gruntownej nauki i wiedzy na kapłana go wyświęcił a zarazem przełożonym publicznej szkoły, założonej dla młodzieży męzkiej mianował. W tej szkole każdy w pobożności i czystości obyczajów jako też w zasadach prawdziwej wiary bezpłatnie pouczany bywał. W gorliwem pełnieniu obowiązków kapłańskich i w przywiązaniu do niesfałszowanej nauki Boskiej był Łucyan dla uczni swych promieniącym wzorem i stał się dla nich ojcem i przyjacielem.

Około tego czasu — w roku 303 po narodzeniu Chrystusa Pana — wybuchły srogie prześladowania wiary chrześciańskiej. Cesarz Dyoklecyan wydał jak najsurowszy zakaz rozpowszechniania nauki Chrystusowej, wzbraniając wiernym pod karą śmierci zebrań celem odprawiania nabożeństwa ku chwale prawdziwego Boga.

Łucyan przebywał właśnie w Nikomedyi, gdy oprawcy cesarza kilku z jego towarzyszów, św. wiarę odważnie wyznawających, pochwycili i do więzienia wtrącili. Łucyan gdy się dowiedział, jeszcze głośniej i jawniej, niż dotychczas prawdę i zbawienie na nauce Jezusa Chrystusa ugruntowane ogłaszał. To też nie długo trwało a i jego samego ujęto i do więzienia wrzucono.

Bogobojny kapłan nawet w ciemnym lochu nie myślał o sobie, ale przeniósł się duchem do wiernych owieczek szczególnie zaś do swych młodocianych uczni w szkole Antyocheńskiej. Listownie pobudzał ich do wierności i wytrwania w wierze, czule i mile pozdrowieniami wszystkich swoich towarzyszów więzienia pocieszając, którzy tak samo jak on spokojnie a nawet radośnie oczekują chwili, gdy będą mogli Zbawicielowi za nieograniczoną Jego dobroć i miłosierdzie, śmiercią męczeńską choć w maluczkiej cząstce się odwdzięczyć. Ostatecznie postawił im jako wzór Antimusza, bogobojne–

go biskupa Nikomedyjskiego, który w obec wszystkich więźniów z podziwienia godnem męztwem w pośród najokropniejszych męczarń za wiarę świętą ducha wyzionął.

Przez dziewięć lat więziono św. Łucyana, gdyż ani groźbami ani dobrocią nie można było na nim wyparcia się wiary Chrystusowej wymódz. Po tak długim czasie rozkazał cesarz Dyoklecyan, aby więźnia powtórnie przed niego stawiono.

Ale i tym razem nadaremne było cesarskie usiłowanie. Św. Łucyan bowiem przyobiecanymi w razie odstępstwa zaszczytami pogardził, ofiarowane złoto i srebro odepchnął, otwarcie wyznając, że bogactwa i klejnoty całego świata nie wyrównają godności wiary i nauki Jezusa Chrystusa.

Tym mniemanym uporem cesarza do tego stopnia rozjatrzył, że świętego męża w najokropniejszy sposób obić i znowu do więzienia wrzucić rozkazał.

Po śmierci Dyoklecyana wstąpił Maksymian na tron, rządca od swego poprzednika nie wiele co łagodniejszy. Ten, gdy o uwięzionym Łucyanie się dowiedział, natychmiast do siebie go przywołał, starając się zacnego kapłana najpiękniejszemi słowy i przyrzeczeniem najwyższych dostojeństw do oddania czci Bogom pogańskim namówić. Lecz nie osięgnął najmniejszego skutku: na wszystkie namowy, pokusy, perswazye i przyrzeczenia Łucyan jedną i tę samą odpowiedź dawał: „Jestem chrześcianinem". A gdy następnie na rozkaz cesarski ciało pasami z niego zdzierano i krwią zbroczonego z powiązanemi rękami i nogami na ostre kamienie rzucono, na których w najokropniejszych boleściach czternaście dni przeleżał, do urągających mu przechodniów wołał: „Jestem chrześcianinem". Cesarzowi, gdy tenże sam go zobaczyć przybył i po ostatni raz się zapytał, czyby zdania swego nie zmienił, św. Łucyan ostatni raz odpowiedział: „Jestem chrześcianinem".

Na śmierć przez miecz skazany, cieszył się Łucyan, że nareszcie nadeszła pożądana chwila bliskiego połączenia się z gorąco ukochanym Zbawicielem. Pomiędzy przyjaciołmi, którym dozwolono było w ostatnich dniach przed śmiercią Swiętego odwiedzać, znajdowało się także kilku jego uczni Antyocheńskich. Ci, zalewając się łzami, przyrzekli zacnemu nauczycielowi, podobnie jak on w wierze do ostatniego tchu wytrwać i za największe skarby świata jej nie zdradzić. Otoczony wiernymi towarzyszami, odprawił we więzieniu mszą św., potem pobłogosławił ich i ostatnie chwile życia w samotności na modlitwie spędził.

Kiedy nazajutrz tłumy ludu na smutne widowisko ścięcia św. Łucyana się zebrały, bez zadowolenia ciekawości odejść musiały, bo Maksymian, z obawy przed natłokiem motłochu, katom potajemny dał rozkaz, by Łucyana w celi więziennej zadławili i ciało do morza wrzucili.

Przyjaciele Swiętego, dowiedziawszy się o tem, podążyli licznie nad morze, aby przy niezmierzonym grobie świętego męczennika boleści swej ulżyć.

Przepaście morskie, mniej okrutne aniżeli cesarz i jego oprawcy, posłuszne rozkazowi Boskiemu, ciało św. Łucyana po trzech dniach z toni swych nieskażone wydały. Znaleziono je i pochowano w bliskości miasteczka Drepane.